



ARCHIWUM WSCHODNIE

Mówi Ryszard Krasnodębski. Najpierw opowiem o swoich dzieciennych czasach, kilka słów. Na wschodzie mieszkałem w województwie nowogródzkim, najpierw w Brześciu, potem w Trałach a potem w Juraciszkach. Mój ojciec był pracownikiem samorządowym, ostatnio przed wojną pracował w zarządzie gminnym w Juraciszkach. Z Juraciszek wyjechałem w 36 roku w czerwcu po raz pierwszy do Lidy, do gimnazjum zdawać egzamin wstępny do pierwszej klasy. Miałem jedenaście lat, a więc byłem młodszy o dwa lata od wszystkich moich kolegów zdających na ten pierwszy rok, do tej pierwszej klasy. Zdałem i zostałem przyjęty, tak, to było równoznaczne wtedy zdanie i przyjęcie, i przed wojną uczyłem się w pierwszej, drugiej i trzeciej klasie. Wojna wybuchła we wrześniu, to przyjechałem do Lidy ponownie z rodzicami, to początkowo uczyłem się w czwartej klasie gimnazjum, no, jak gdyby dawnego kształtu, a od stycznia 40 roku utworzono pierwszą białoruską średnią szkołę. Po białorusku to brzmiało: pięwszaja białoruskaja siarednaja szkoła. Ona była białoruską z nazwy, ponieważ uczono nas po rosyjsku i z wyjątkiem języka białoruskiego, który był niejako w dwóch wydaniach, to znaczy literatura białoruska i język białoruski. Nauczyciele byli przeważnie z Rosji w tym czasie, wśród naszych nauczycieli, przedwojennych zostało kilku, niektórzy uciekli na zachód, niektórzy zostali. Czy ja mam sobie przypomnieć jakieś nazwiska? Więc tak wybiegłem trochę na przód a powinienem powiedzieć coś o Lidzie przedwojennej, no to może o tej Lidzie przedwojennej. Rodzice mieszkali w Juraciszkach, myśmy mieszkali na stacji. Myśmy to znaczy z siostrą. Mniej się tam płaciło, mogę nawet powiedzieć: 35 zł. na miesiąc z całodziennym oczywiście wyżywieniem. Siostra było wprawdzie starsza, ale trudno żebyśmy sobie razem gospodarzyli, tak, że byliśmy pod opieką gospodyni. Miasto, jak wyglądało miasto, trudno mi to powiedzieć. Wielkość tego miasta, o ile pamiętam 24 tyś. mieszkańców. Główna ulica to była ulica Suwalska, taka promenada, ulica dla spacerowiczów, przy niej kościół pijarów. Kościół farny nie przypominam sobie czy był przy ul. Suwalskiej, czy przy ulicy bocznej ale blisko Suwalskiej. Ale tuż przy farnym był, no i jest oczywiście, zamek czy ruiny zamku Giedymina. Nawet mniej niż ruiny, bo mury zamku Giedymina, w których wnętrzu

DANES
PICTA
COM

K

Y

M

C

Grey Scale #13

B

G

R

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Mówi Ryszard Krasnodębski. Najpierw opowiem o swoich dzieciennych czasach, kilka słów. Na wschodzie mieszkałem w województwie nowogródzkim, najpierw w Brześciu, potem w Trałach a potem w Juraciszkach. Mój ojciec był pracownikiem samorządowym, ostatnio przed wojną pracował w zarządzie gminnym w Juraciszkach. Z Juraciszek wyjechałem w 36 roku w czerwcu po raz pierwszy do Lidy, do gimnazjum zdawać egzamin wstępny do pierwszej klasy. Miałem jedenaście lat, a więc byłem młodszy o dwa lata od wszystkich moich kolegów zdających na ten pierwszy rok, do tej pierwszej klasy. Zdałem i zostałem przyjęty, tak, to było równoznaczne wtedy zdanie i przyjęcie, i przed wojną uczyłem się w pierwszej, drugiej i trzeciej klasie. Wojna wybuchła we wrześniu, to przyjechałem do Lidy ponownie z rodzicami, to początkowo uczyłem się w czwartej klasie gimnazjum, no, jak gdyby dawnego kształtu, a od stycznia 40 roku utworzono pierwszą białoruską średnią szkołę. Po białorusku to brzmiało: pięwszaja białoruskaja siarednaja szkoła. Ona była białoruską z nazwy, ponieważ uczono nas po rosyjsku i z wyjątkiem języka białoruskiego, który był niejako w dwóch wydaniach, to znaczy literatura białoruska i język białoruski. Nauczyciele byli przeważnie z Rosji w tym czasie, wśród naszych nauczycieli, przedwojennych zostało kilku, niektórzy uciekli na zachód, niektórzy zostali. Czy ja mam sobie przypomnieć jakieś nazwiska? Więc tak wybiegłem trochę na przód a powinienem powiedzieć coś o Lidzie przedwojennej, no to może o tej Lidzie przedwojennej. Rodzice mieszkali w Juraciszkach, myśmy mieszkali na stacji. Myśmy to znaczy z siostrą. Mniej się tam płaciło, mogę nawet powiedzieć: 35 zł. na miesiąc z całodziennym oczywiście wyżywieniem. Siostra było wprawdzie starsza, ale trudno żebyśmy sobie razem gospodarzyli, tak, że byliśmy pod opieką gospodyni. Miasto, jak wyglądało miasto, trudno mi to powiedzieć. Wielkość tego miasta, o ile pamiętam 24 tyś. mieszkańców. Główna ulica to była ulica Suwalska, taka promenada, ulica dla spacerowiczów, przy niej kościół pijarów. Kościół farny nie przypominam sobie czy był przy ul. Suwalskiej, czy przy ulicy bocznej ale blisko Suwalskiej. Ale tuż przy farnym był, no i jest oczywiście, zamek czy ruiny zamku Giedymina. Nawet mniej niż ruiny, bo mury zamku Giedymina, w których wnętrzu

czy za murami, zależy z której strony patrzymy, ślizgawka co zimę była. Trochę się ślizgałem, niezbyt wprawnie, ale jednak bywałem tam. Acha! Nagłośnienia wtedy nie było, ale gramofon grał, grał niewątpliwie. Miasto, w którym dużo było Żydów, o tym to też się zwykle mówi. No i to trzeba chyba powiedzieć. W jakim stopniu ilu było procentowo, trudno mi powiedzieć. Ludność poza tym, polska i myślę, że i białoruska, ale chyba z przewagą polskiej - no trzeba powiedzieć, że z przewagą polskiej, zresztą białoruskość przed wojną tak bardzo ja nie zauważałem. W szkole powszechnej mówiło się po polsku. Z chłopcami, kolegami na boisku, podwórzu, na pastwisku, na polu mówiło się "paprosta" to znaczy mniej więcej po białorusku, ale tak chyba na przemian. Z resztą te okolice, w których mieszkałem były raczej białorusko-polskie niż białoruskie, ale jeśli chodzi o prawy, to zdaje mi się, bardziej polskie. Warto o tym powiedzieć, że o żadnych konfliktach polsko-białoruskich ani nie słyszałem, ani nie widziałem, ani nie odczuwałem. Po prostu żyliśmy z ludnością miejscową. No mój ojciec był urzędnikiem, był ewidentnym Polakiem, ale ci, którzy nas otaczali to nawet nie zastanawiałem się, czy są Polakami, czy Białorusinami - przed wojną, a w czasie wojny dopiero właściwie ta białoruskość została tak bardziej zauważona przeze mnie. W naszej klasie była przede wszystkim inteligencja, dzieci inteligentów, rzecz jasna wolnych zawodów, kupców. Ze wsi było kilka osób - pamiętam nazwisko - Kaczugo. Był na pewno synem chłopą, gdzieś niedaleko spod Lidy. I inne nazwisko pamiętam - Zbliz. Był z Lękniszek, nazwisko litewskie. Wysoki, wysoki chłopak, najwyższy w klasie. Jakie nazwiska tam pamiętam, te które do dzisiaj są żywo w pamięci, z którymi utrzymuję kontakt na przykład z kolegami: Krasowskim Krysieńkówna, Warsowski.

- A jaki był przekrój narodowościowy w klasie Pana?

A więc przede wszystkim Polacy, było z Białorusinów, być może było dużo Białorusinów ale każdego się nie zauważało. Było kilku Żydów.

- A to było jedyne gimnazjum w Lidzie?

W Lidzie było gimnazjum ogólnokształcące, do którego ja chodziłem imieniem Karola Chodkiewicza numer dziewięćset osiemnaście. Chodziliśmy zawsze z tarczą, w niebieskich mundurkach. Poza tym była średnia szkoła handlowa, mówiliśmy

"handlówką", jaka była jej nazwa oficjalna to trudno mi jest powiedzieć, w każdym razie "handlówka", prowadzona przez ojców pijarów. I to wszystko jeśli chodzi o średnie szkoły, więcej nie było, no powszechne szkoły, było ich kilka, no potrzeba rzecz jasna. Co można jeszcze powiedzieć? Atmosfera w szkole. Ta, o której słyszę teraz jest nieporównywalna, tak sobie wyobrażam i to chyba jest prawda. Gdzie szkołę przypominam sobie z wielką radością i przyjemnością, i satysfakcją. Być w szkole po prostu było dobrze. Chociaż mnie jako najmłodszemu pod pewnymi względami było trudniej, bo byłem najmłodszy, ale specjalnych trudności nie odczuwałem. Uczyłem się dobrze, należałem do uczniów z pierwszej piątki, szóstki, siódemki, coś takiego. Byłem dobrym uczniem mimo że byłem najmłodszy. Uczyliśmy się łaciny-porządnie, niemieckiego-porządnie z wychowawstwem pana Babianowskiego. No Mętlin miał stanowisko dyrektora, to jeszcze po wojnie słyszałem o nim. Uczyła polskiego nie nas, ale sąsiednie klasy przez rok siostra Dołęgi-Mostowicza.

-Może o siedemnastym wrześniu Pan opowie.

Siedemnastego września byłem w Juraciszkach. Ponieważ rodzice mieszkali w Juraciszkach przyjechaliśmy z siostrą na lato do domu, no koniec sierpnia to było naprawdę wielkie wzruszenie, nawet takie dyskusje, rozmowy na temat co się będzie działo, ale narastająca groza oczywiście. Dobrze pamiętam narastającą grozę i pierwsze dni września, już po wybuchu wojny, w którymś tam dniu września- ósmym, dziewiątym, dziesiątym-trudno mi powiedzieć, przez Juraciszki zaczęły przechodzić gromady, raczej niewielkie, uciekinierów z zachodu ale nie zatrzymało się wiele osób. Słuchaliśmy radia, i to doskonale pamiętam Westerplatte, powtarzane.

-Do granicy nie było daleko. Zastanawiam się dokąd ci uchodźcy zmierzali? Było ich mało, oni chyba szli na południe. Ja jednak chcę powiedzieć jak dobrze mam w pamięci te audycje o obronie Westerplatte i to "Westerplatte się broni". I jeszcze coś pamiętam co warto odnotować, mianowicie jak Niemcy uderzyli na Poznańskie, to jak do Leszna wkroczyli, dość prędko, to był drugi czy trzeci września, dokładnie nie wiem, mniejsza o to, tylko pamiętam znowu przez radio wieść o tym jak ludność cywilna broniła się i że w obronie brały

udział także kobiety, i głos spikiera - "cześć wam Lesznianki i Łowiczanki".

Tak więc 17 września się zbliżał - któregoś dnia usłyszeliśmy, że Sowieci wchodzą to trudno mi powiedzieć, może właśnie 17-go rano, przypuszczam - no i oczywiście groza, groza. To była druga groza, i powiedziałbym większa niż pierwsza, ponieważ front zachodni był daleko, żadne naloty nas nie dotknęły a nawet żadnych przelotów samolotów nie pamiętam, nie miały dokąd lecieć po prostu. Tak więc ta druga groza była jakby większa. To był właściwie jakby koniec świata się zbliżał, to się czuło.

- A na ile ludzie czuli, że to inna cywilizacja, przecież to tak coś drastycznie innego?

No więc w tym słowie "groza" to jest zawarte, no i ludzie płakali, po prostu płakali. [Jak zaczęła się wojna z Niemcami nie płakali, ale jak wiadome, że wkraczą Sowieci to ludzie po prostu płakali.] To jest zupełnie autentyczne, kiedy płakali i witali, to jest zupełnie jasne. W każdym razie w porównaniu z początkiem września to było bardziej dramatyczne. Czuło się naprawdę coś bardziej zdecydowanego, że tam jest jakieś zwycięstwo, jakiś opór. [Pierwszych Sowietów zobaczyłem w strasznej postaci, jakaś artyleria ciągnięta przez konie, wybiedzone, marne, uprzęż wiązana sznurkami, karabiny na sznurkach. Niewielkie ilości tych żołnierzy przechodziły tamtędy, ale było to wszystko straszne, strasznie nędzne.]

Po kilku dniach, gdzieś tam chłopcy czternastoletni zobaczyli jakiś czołg, jakiś ciągnik, gąsienica przerwana, w dół zepchnięty, to widać było, że to jest armia polska. Jeżeli chodzi o ludność miejscową, to gdzieś słyszałem, że w okolicznych wsiach gdzieś kogoś zbito. To, że ktoś został zabity to sobie nie przypominam, to chyba bym wiedział, ale że zbito kogoś to dobrze pamiętam. Jak tylko Sowieci mieli wkraczać, czy nawet wkraczali po siedemnastym wrześniu, ojciec pojechał natychmiast do Lidy i tam postanowiliśmy się przenieść. Już w pierwszych dniach października przenieśliśmy się do Lidy. Przeprowadzka nastąpiła (.....) o ile pamiętam wynajeliśmy mieszkanie na ulicy Halkowskiego, nie ma jej teraz w ogóle, została przebudowana. Poszedłem do szkoły w połowie może października, na razie było tak jak przed wojną, tak samo się nazywało: czwarta klasa.

Ci sami koledzy, koleżanki, kogoś tam nie było, nie pamiętam kogo. Jakiś nauczycieli nie było, nie pamiętam jakich. Przez kilka pierwszych miesięcy uczyliśmy się po polsku, z polskich podręczników, tylko że język rosyjski jako lekcja. Od stycznia po rosyjsku, po rosyjsku i koniec. Przez te kilka miesięcy, te dwa, trzy miesiące nauczyciele, którzy nie znali rosyjskiego pilnie się uczyli. Niektórzy znali rosyjski z czasów jeszcze carskich, na przykład Kłajnijstr, nauczyciel języka rosyjskiego, który skończył uniwersytet w Dorpacie, już był wiekowy i doskonale znał rosyjskie, carskie czasy. Chemik, Manke też znał rosyjski bo był starszy, może przed pierwszą wojną uczył gdzieś. Właśnie ci dwaj znali na pewno rosyjski, inni nie pamiętam. No o tym śmiesznym incydencie może warto powiedzieć, bo odnoszę wrażenie, że nawet takie rzeczy kończyły się dramatyczniej niż u nas. Powstała myśl jakiejś konspiracji, no czternaście lat, co w ogóle można powiedzieć. Jak ona zaczęła się objawiać. Ona zaczęła się objawiać w ten sposób, że wymyśliliśmy jakiś szyfr i zaczęliśmy przysyłać do siebie listy, nawet w czasie lekcji przez kogoś kartki zaszyfrowane. To był alfabet specjalny, dokładnie nie pamiętam, ale zdaje się, że to był alfabet wymyślony. Jakie wiadomości przysyłałaliśmy sobie trudno mi powiedzieć, w każdym razie o czymś w ogóle elementarnie ważniejszym nie pomyśleliśmy nawet, tak że jeden list wpadł do rąk dyrektora. Był już Rosjanin Walkonin dyrektorem. Wezwał nas, każdego z osobna i mieliśmy rozmowę z nim, w każdym razie groźnie się zachował i sprawę zamknął. Nic nie było. ale z niczego robiono też sprawy, to wtedy zdawało nam się nic, ale teraz, z tej perspektywy widzę, że to mogło być coś. Może też o takim śmiesznym incydencie powiem, to było na pewno na rewolucję październikową, ale już w 40-tym roku. Mianowicie taki incydent: ja grałem w orkiestrze szkolnej, w dętach. I orkiestra szkolna musiała wystąpić na rocznicę rewolucji październikowej, nie przepraszam to musiał być 1-y Maja, a to dlatego, że to było na stadionie i było ciepło. Dyrygent, kierownik-Gramowić, już wiekowy, jeszcze carskie czasy pamiętający, oczywiście nami dyrygował, coś tam graliśmy ale początkiem musiała być "Międzynarodówka". Zadyrygował

tę "Międzynarodówkę", ale orkiestra dęta złożona z czternastoletnich, piętnastoletnich chłopaków nie zawsze musiała być sprawna i ta "Międzynarodówka" nie wyszła, po prostu nie wyszła. Po kilku taktach okazało się, że wszystko się rozłązi i wobec tego Gramowić gestem odpowiednim zakończył ten bałagan, i rozpoczął od nowa. Oczywiście mogło to być poczytane za jakiś sabotaż. Atmosfera, już były wywózki, atmosfera była groźna, to obawialiśmy się, że może coś się Gramowiciowi przydarzyć, nic się nie przydarzyło. Odnoszę wrażenie, nowy dyrektor Malko potrafił drobne incydenty tuszować. Inny incydent, może nie groźny, ale on zachował się tak jak sowiecki dyrektor powinien się zachować. Mianowicie, wydaje mi się, że chemik Manke w pewnym momencie przestał nas uczyć i on nam powiedział dlaczego, mianowicie (powiedział dosłownie): "Kak możet ucziť žizni i chimi eto kto nie znajet marksizma-leninizma. Odnoszę wrażenie, że był jakiś kurs marksizmu-leninizmu, na którym Manke źle wypadł, albo coś takiego, w każdym razie taka konsekwencja - może jego zachowanie, może źle powiedział, w każdym razie to zdanie dobrze pamiętam. Może o tym dyrektorem Malko. On był geografem, uczył nas geografii, z tym, że jak coś pokazywał na mapie to nigdy nie stał przodem do mapy lecz tyłem. Rękę wyciągał do mapy patrząc na nas i jakoś tam pokazywał na tej mapie. Oczywiście jakoś tam, a my i tak wiedzieliśmy, gdzie co jest, czy on nie wiedział jak to się to wszystko na mapie układa.

Może o ważniejszych rzeczach warto powiedzieć. Pamiętam wywózki. W podwórzu myśmy mieszkali tam było z siedem, osiem rodzin, to chyba w pierwszej wywóźce jedną wywieziono i poza tym rodziców jednego kolegi wywieziono. Zresztą nie mogę sobie przypomnieć kogo wywieziono. Poza tym po ulicach jeździły te "cziornyje rony", to też się widziało, to też budziło grozę. Widzieliśmy, że takie rzeczy się dzieją. Ale nasze życie po klęsce toczyło się jakoś. Zbieraliśmy się, bawiliśmy się; nie, tańczyć nie tańczyliśmy.

-Warunki życia?

Warunki życia, a więc ojciec pracował gdzieś tam, to znaczy to jest Lidzkaja Garnckaja Pramysliennyje Chazjajstwo - to jest zarządzanie jakimś gospodarstwem

przemysłowym. Matka musiała pracować, no i jakoś tam nam starczało, oczywiście kiepskawo - w kolejkach się stało, po chleb w kolejkach się stało. W lecie siostra pracowała i ja pracowałem. Pierwsze lato sowieckie pracowałem przy drogach i nawet nieźle zarabiałem. A nieźle zarabiałem dlatego, że byłem wysoki jak na swój wiek, duży i silny. Przyjęto mnie do grupy starszych ode mnie na akord. Dzięki temu nieźle zarabialiśmy, potem okazało się, że ten akord był źle skalkulowany, za dużo nam płacili, wobec tego obcieli nam premie, wtedy było gorzej. Pracowałem też jako dzienny robotnik jakiś czas, to znaczy dwa tygodnie, trzy tygodnie jakoś to długo trwało. Te roboty wyglądały strasznie, to znaczy: piętnaście minut się pracowało a potem pół godziny się stało i paliło papierosy i rozmawiało o przeżyciach ostatniej niedzieli. Ponieważ ja nie paliłem, nie brałem papierosa do ust, ale nie będę pracować, gdy inni stoją, więc wbijałem łopatę w piasek (przy budowie ulic pracowaliśmy). Przed wojną praca szarwarkowa miała złą opinię, mówiło się: patli jak na szarwarku. Szarwark, o ile dobrze pamiętam to była taka praca: wieśniak musiał obrobić za darmo ileś dni w roku dla samorządu. Taki rodzaj podatku. Oczywiście jakoś tam pracowali: zwozili kamienie, podsypywali piasek, zwozili coś takiego. Głównie przy drogach te szarwarkowe roboty były prowadzone i ta robota tak wyglądała. Ale to było zupełnie dobrze w porównaniu z robotą jaką wykonywali ci moi współtowarzysze za sowieckich czasów. To było rzeczywiście nieludzko strasznie. I koszty budowy tych ulic straszliwie rosły. Brygadier chodził, krzyczał i nic to nie pomagało, i wobec tego na akord. W przypadku pracy na akord były jakieś kombinacje i za akord trzeba było dużo płacić, i tak to wszystko szło. Raz się zarabiało dużo, drugi raz mało i nigdy nie było wiadomo, ale na ogół wychodziłem na swoje. Może warto od razu powiedzieć o pracy jaką wykonywałem na dwa tygodnie przed początkiem wojny sowiecko-niemieckiej w 41 roku. Jak tylko skończył się rok szkolny w czerwcu, na początku czerwca to do 22 czerwca ze dwa tygodnie pracowałem przy dworcu przy okorowywaniu papierówki - metrowe okrągłaki ze świerku. Ponieważ one leżały dość długo, więc korowało się dość trudno.

za to niewiele można było dostać. Ale z tym nadzorczym czy bragadierem mój ojciec porozmawiał i zrobiliśmy tak: ja pracowałem dwa tygodnie, a on zapisał, że pracowałem może pięć dni, a skoro pracowałem pięć dni to oczywiście wykonałem pracę ponad normę. I byłem jednocześnie "stachanowcem" i dostawałem od razu wyższą stawkę za tą ponad normę. No więc jak wygląda sowiecka ekonomika to na takich drobnych przykładach widać było w całej rozciągłości.

Cóż powiedzieć jeszcze o tamtych czasach. Postawa ludności wobec władz. Trudno mi o nim powiedzieć, myśmy się uczyli i koniec, kropka. Czy byliśmy zobowiązani do czegoś specjalnego w szkole: no byliśmy na tych akademiach, ja w orkiestrze grałem na uroczystości 1-o majowej. Żadnych konieczności jakoś nie pamiętam, takich przykrych konieczności, które by mnie do czegoś zmuszały. No uczyłem się białoruskiego języka na przykład z samą chęcią; mówiono po rosyjsku, nauczyłem się i po rosyjsku i nie wywoływało to we mnie oporu, no trzeba było się uczyć w takim języku w jakim to jest. Z wszystkiego zdawaliśmy sobie sprawę, to znaczy z tej okupacji, z tej wojny i z tego, że to jest najazd, i czekaliśmy na koniec wojny, i w domach rozmawialiśmy jak to będzie po końcu wojny, no i trzeba powiedzieć mówiliśmy, jak to Polska będzie od morza do morza - o tym się też mówiło w domach, to jest proste i oczywiste, teraz to się może wydaje śmieszne i dziwne, ale tak się wtedy rozmawiało. Co będziemy robić po wojnie, a to że się wojna skończy. W to, że będzie Polska to nikt nie wątpił, ale chcę powiedzieć, że w szkole u nas to nie byłem zmuszony do czegoś przykrego, żebym musiał się złamać do czegoś.

Jeżeli idzie o ojca to też pracował. To, żeby brał udział w jakiejś politycznej to jest wykluczone, bo musiała być jakaś atmosfera inna w domu. Atmosfera w domu trudno oczekiwać żeby była pogodna, była wojenna, ale była normalna.

Chodziło się na majowe. "Boże coś Polskę" śpiewało się - tak jak przez sen - może raz śpiewaliśmy w kościele pijarów. Ale tak jak przez sen to czuję, bo przecież nie wszystko mogło być ścigane, nie każdy fakt mógł być ścigany. To, że ludzi aresztowano to wiadomo było, ta groza była ale w tym kręgu, w którym ja byłem to byliśmy w dawnym polskim koleżeńskim kręgu, więc daje to jakieś poczucie bezpieczeństwa jak gdyby to groza była na zewnątrz,

choć oczywiście nam też to wszystko zagrażało, bo gdyby nie zagrażało nie czuło by się tej grozy.

Więści z okupacji dochodziły ale fragmentarycznie, to znaczy z okupacji niemieckiej. To może wystarczy o tym.

-To może Niemcy? Jak się pojawili.

To było, proszę państwa, od samego początku groźne. Sam początek wojny był 22 czerwca, niedziela o piątej rano usłyszeliśmy bombardowanie z odległości chyba kilku kilometrów lotniska.

-Ale czy Pan zwrócił uwagę, że w sierpniu 39r. na napięcie, że uważano że wojny nie będzie. Czy tu było zaskoczenie?

Dokładnie nie przypominam sobie, ponieważ wojna już trwała i o tym, że będzie wojna niemiecko-sowiecka to nie przypominam sobie w jakim stopniu to się widziało. Może dlatego, że przytłoczył ostatnie tygodnie fakt wywózki 10 czerwca. Duża wywózka po dłuższej przerwie. Może to wszystko przytłumiło wiadomości o grożącej wojnie, ale chyba o tym się mówiło, nie mogę sobie przypomnieć.

Więc 22 czerwca usłyszeliśmy bombardowanie o piątej rano, wyszliśmy na ganek, drewniany domek to jakiś ganek był, no i wojna. Po kilku dniach, oczywiście jakieś wiadomości narastały, o ile sobie przypominam po trzech, czterech dniach bombardowanie Lidy. Zanim to bombardowanie nastąpiło, wiedzieliśmy, że to jest węzeł kolejowy, Lida to ważny węzeł kolejowy. Mieszkaliśmy niedaleko, od tej trasy. Lotnisko było kilka kilometrów stąd, ale węzeł kolejowy niedaleko pół kilometra a może 400m. Zachowaliśmy nasze cenniejsze rzeczy, pamiętam to dokładnie. Może warto powiedzieć czego się wtedy nauczyłem, mianowicie: w sadzie mnie się wydawało, że to miejsce będzie najlepsze, a ojciec mój: „nie: bo to rośnie młode drzewko, młoda jabłonka czy wiśnia, a ja w tej grozie myślałem aby wykopać ten dół, a reszta jest nieważna. Tymczasem ojciec zwrócił uwagę, że i to jest ważne mimo całej grozy: jest drzewko to wykopać ten dół o kilka metrów dalej w miejscu, które tego drzewka nie naruszy. Bardzo to było pouczające dla mnie. Wykopaliśmy dół, zasypaliśmy go i tak z dnia na dzień czekaliśmy i po kilku dniach nastąpiło bombardowanie Lidy, to było groźne bombardowanie. I w tym czasie Lida została w dużej części spalona, centrum było bombardowane a nie dworzec kolejowy, po prostu z bardzo wiadomych względów nie bombardowano

domów kolejowych, bo były potrzebne. Dlatego myśmy byli bezpieczni w tym miejscu natomiast centrum Lidy było bardzo zniszczone. I w centrum Lidy był taki wygon, strumyk, łączka jak gdyby a właściwie pastwisko, czasami tam się coś pasło, jakieś kozy się pasły, taki duży wygon, teraz ładnie zabudowany. Ludzie z okolicznych domów zaczęli tam uciekać. Tymczasem z samolotów zaczęto do nich strzelać i na nich zaczęto zrzucać bomby jak się później dowiedzieliśmy. Dużo osób tam zginęło, między innymi została raniona sąsiadka z naszego podwórza, tak że to było rzeczywiście groźne. Bombardowanie chyba jedno było. Właściwie nad naszym domem samoloty zaczęły pikować a zrzucały bomby dalej. Moja mama klęczała na ganku i wznosiła ręce, głośno się modliła. Niemcy wkroczyli chyba w piątek i naszą ulicą przechodził jakiś oddział wojskowy i niektórzy witali Niemców kwiatami. To może być dziwne, ale ja tłumaczę sobie ten fakt następująco: wieści z okupacji niemieckiej były fragmentaryczne a okupacja sowiecka dwuletnia, czy prawie dwuletnia była na miejscu, była ciężka, dotknęła albo bliskie rodziny, albo sąsiadów, w każdym razie była zupełnie namacalna. Tamta była daleka. Niemcy kulturalnie wyglądający, żołnierz sprężysty, wspaniałe karabiny na rzemieniach a nie na sznurkach. tak że to witanie kwiatami było do wyjaśnienia. Po kilku tygodniach okazało się, że nie mamy co jeść. Ludność miejscowa nie docierała tutaj do miast, nie wiem dlaczego, bała się czy coś takiego. W sklepach nie można nic kupić bo zamknięte. Władz właściwie jeszcze cywilnych nie było. W pierwszych dniach zanim Niemcy opanowali miasto, nie tyle opanowali ale ustanowili jakąś władzę nawet tą wojskową, taką bardziej dokładną, to ludzie rabowali magazyny żywnościowe. No, jak magazyny żywnościowe są rozgrabiane, to nie mogłem siedzieć w domu jak nie ma co jeść. Przyniosłem do domu, pamiętam trzydzieści, czterdzieści kilo grochu i bańkę oliwy, oleju z siemienia lnianego i ze słonecznika. Ten groch to z magazynów kolejowych. I tym żywiliśmy się dobrych sześć tygodni, coś jeszcze oczywiście było, ale to było nasze podstawowe jedzenie. Po miesiącu przychodzi do mnie Kłajnistr, ten właśnie nauczyciel niemieckiego, który został tłumaczem przy komendanturze miasta niemieckiej i mówi mi, że z pociągu sanitarnego numer 531, dokładnie ten numer

pamiętam zgłosili się do komendatury, żeby im dać kogoś za tłumacza. Ponieważ on sobie mnie przypominał jako może znającego język niemiecki, mnie zaproponował. W tej sytuacji nie było innego wyjścia jak przyjąć tę propozycję-i przyjąłem ją. Pociąg sanitarny stał na stacji, ojciec mnie tam odprowadził i zostałem tłumaczem, i jednocześnie robiłem różne rzeczy. Muszę powiedzieć, że ten okres, który tam spędziłem (półtora miesiąca, nie dłużej niż dwa miesiące) naprawdę było mi tam dobrze. To znaczy: lekarze doskonale mnie traktowali, siostry-sanitariuszki, cztery były, doskonale mnie traktowały: "Richard! Richard ". Pomagałem im, tym lekarzom pomagałem, jak pociąg stał chodziłem na zakupy. Prosili mnie: pójść na wieś kupić jabłka -szedłem na wieś kupić jabłka. Dawali mi swoje marki, czy czasami jakieś tam swoje rzeczy, czy coś takiego. Było to naprawdę zupełnie przyzwoicie. Woziliśmy rannych z Mińska do ~~Modryna~~^{Atkivi}. Do Mińska dojeżdżał pociąg, tam ładowani byli ranni. Potem wracaliśmy albo przez Połoneczno-Wilno-Grodno albo Połoneczno-Lida-Grodno, no i potem przez Białystok do ~~Modryna~~^{Atkivi}. Już był koniec lipca, dokładnie nie pamiętam, łatwo sprawdzić, bo historycy to wiedzą, była wielka bitwa pod Połockiem i wtedy były wielkie transporty rannych. Część wagonów była wagonami sanitarnymi a część wagonów po prostu wagonami towarowymi wymoszczonymi słomą i sianem, i tam ranni leżeli. Widziałem wtedy, że ci lekarze, chirurdzy przede wszystkim mieli już dość wagonów, w każdym razie z taką powagą mi mówili, że tam są wielkie straty. Początkowo to wyglądało dość dobrze dla Niemców.

W pociągu sanitarnym byłem tłumaczem do mniej więcej końca sierpnia. Jak to się skończyło. Mogło się skończyć zupełnie nieszczęśliwie ale na szczęście żyję. Mianowicie, gdy jechaliśmy z Mińska przez Połoneczno-Wilno-Grodno, gdzieś w okolicy Oran, gdzie pociąg się znajdował, wieczorem, po południu, po pracy wyszedłem na dach pociągu, po prostu żeby zobaczyć piękną okolicę. Stałem na brzegu wagonu, tyłem do lokomotywy, w pewnym momencie poczułem szarpnięcie na wysokości szyi, prawie w kark ale więcej w ramiona, w kark. Oczywiście zrobiłem koziołka i spadłem między wagony. Wagony były połączone klapkoręką nie przykrytą tą znaną harmonią, tunelem jaki łączy obecnie wagony. Spadłem na tą klapkorękę, jak spadałem to miałem pełnię pamięci. Ocknąłem się

i to natychmiast, przytomności chyba nie straciłem. Ocknąłem się już na tej klapkoręce żelaznej, rzecz jasna, próbuję wstać - nie mogę. Doczołgałem się do swojej kabiny, miałem swoją kabinę w wagonie sanitarnym, zamkniętą zupełnie i tam się położyłem z jękiem, i czekam aż ktoś do mnie przyjdzie. Rzeczywiście po jakimś czasie przyszła do mnie jedna z sióstr, załamała nade mną rące. Przyproceedziła lekarza i obejrzano moją nogę. Okazało się, że nie mam złamanej nogi tylko silny wylew krwi. Po prostu uderzyłem w jedną z barierek, które otaczają te platformy. Lekarze przepisali mi jakieś okłady i po prostu nie mogłem się ruszać, leżałem. Ponieważ jechaliśmy wtedy do Małkini przez Grodno, a nie przez Lidę, jeszcze jeździłem z nimi przez dwa tygodnie tak leżąc, znaleziono innego tłumacza, młodego chłopaka. W pociągu byłem pod opieką lekarzy i sióstr i naprawdę było mi dobrze, bo to trzeba powiedzieć w dzisiejszych czasach. Mniej więcej po dwóch tygodniach jechaliśmy znów przez Lidę wtedy bardzo pieczołowicie odwieziono mnie do domu. Dano mi kule, ponieważ nie mogłem chodzić i tak zostałem w domu. Na szczęście wyżyłem, ten wypadek nie był śmiertelny a po drugie dobrze skończyłem służbę, tą pracę.

Już niedługo przeprowadziliśmy się z rodzicami do Juraciszek, w październiku na pewno byłem już w Juraciszkach. Zamieszkaliśmy w majątku Juraciszki, we dworze - Juraciszki. do których wrócili ich przegonieni właściciele - Rodziewicz. Dostaliśmy tam dwa pokoje. Ja już miałem lat szesnaście, więc już mogłem pracować i zacząłem pracować. Przez całą okupację niemiecką różne rzeczy robiłem. Byłem urzędnikiem, była administracja i to, że się w niej pracowało było zaakceptowane zupełnie przez władze podziemne. Krótko może powiem gdzie pracowałem. Najpierw jak przynoszono ziemniaki to rejestrowałem, a później dość szybko zostałem sekretarzem inspektoratu szkolnego. Niemcy jak wiadomo urządzili z Białorusi kraj pod ich protektoratem o zarządzie białoruskim "Wajstrudieniem". Co ta administracja robiła wiem tylko z własnego doświadczenia. Było szkolnictwo. W gminie Juraciszki były szkoły zarówno polskie jak i białoruskie, z tym że ludność wybierała. W inspektoracie pracowało dwóch: inspektor, dawny kierownik szkoły w Juraciszkach - jego obowiązkiem było wizytować szkoły. A obowiązkiem sekretarza też coś tam było. Muszę powiedzieć, że doprawdy nie wiem co robiłem w papierach. Wiem, że siedziałem

i rozmawiałem z inspektorem, i gawędziliśmy całymi godzinami, to pamiętam. Co miesiąc, pośpiesznie robiliśmy sprawozdania z inspekcji, których nie było. Wypełniało się wielki arkusz, były tam jakieś rubryki. W tych rubrykach były wymienione oczywiście szkoły, daty inspekcji, uwagi poinspekcyjne, wykonania tych inspekcji, i takie różne, różne rzeczy. No i pod koniec miesiąca wspólnie my taki arkusz żeśmy wypełniali dla kilkudziesięciu szkół. Inspektor nigdzie nie jeździł. Na początku nie jeździł, dlatego, bo nie jeździł, a potem jeździł dlatego, bo bał się partyzantów. Co miesiąc ja jeździłem do Lidy, ponieważ Lida była stolicą okręgu, do którego Juraciszki należały, i to sprawozdanie zawoziłem naczelnemu inspektorowi, który był Niemcem. Gabinet mego inspektora był akurat w klasie, w której ja się uczyłem - bo zarząd tego okręgu mieścił się w szkole, w gimnazjum ja się uczyłem - klasa była podzielona na dwie części. Część tej klasy - gabinet inspektora - była większa. Ile on miał pracy - nie wiem. Warto przypomnieć, powiedzieć o pewnym szczególe, mianowicie: przychodzę do sekretariatu, pytam czy jest inspektor, (czy nadinspektor - już tego nie pamiętam) - jest, i wchodzę. Proszę sobie wyobrazić - siedzący za biurkiem nadinspektor, gdy ja wchodziłem wstał, po prostu wstał. Ja podchodziłem do biurka, mówiłem po niemiecku do niego, oddawałem sprawozdanie, on mnie o coś pytał, ja mu coś odpowiadałem, na stojąco. Obydwaj staliśmy. Wymiana zdań trwała dwie minuty, trzy najwyżej, i wychodziłem. Fakt, że on wstawał znowu jest jednym ze szczegółów, który mnie bardzo pouczył. Po jakimś czasie, trudno mi powiedzieć po jakim przyjechał do Juraciszek mianowany przez Mińsk, bo stolica była oczywiście w Mińsku, inspektor Białorusi, który doskonale znał polski zresztą. Krótco po tym przyjechał sekretarz inspektoratu, ja oczywiście zostałem zwolniony, czy się zwolniłem to żadnych nie było wtedy problemów. Zostałem zaangażowany na pomocnika sekretarza gminy Ługomowicze z siedzibą w Juraciszkach. Z powodu grasujących partyzantów w tamtych okolicach zarząd gminy Ługowicze przeniósł się do Juraciszek. Zostałem tu sekretarzem a wójtem był pan ^{Teżyk} „Teżyk”, przedwojenny osadnik. Nie wywieziony, jakoś się uchronił. Acha! Sekretarzem był Maciaszek, człowiek z Warszawy, który przechwalał się, że świetnie gra w szachy, ale jakoś dziwnie ze mną nie mógł wygrać. Był to człowiek starszy.

On musiał z rana zawsze wypić ćwiartkę, a to dlatego, że mówił, że gdy nie wypije ćwiartki to trójki nie może napisać. Zawsze był podchmielony a niewiele miał roboty, bo pomocnik był młody, niepijący, więc wykonywałem wszystkie roboty. Prowadziłem odprawę z sołtysami, co wtorek przyjeżdżali sołtysi: chłopci, szlachta dużo szlachta zaściankowej, trochę młodych siedemnastoletnich. Czytało się zarządzenia niemieckie trochę z przymrużeniem oka. Pamiętam jedno, przyszło zarządzenie, że wszystkie studnie mają być przeniesione przynajmniej 50m od obór. Sołtysi wysłuchali, ja przeczytałem czy jakakolwiek studnia została przeniesiona nie wiem. Nie sprawdzałem.

~~W tym czasie zostałem zaprzysiężony.~~ [W tym czasie zostałem zaprzysiężony. Okazało się, że komendantem na ten obwód-jakiego zasięgu był ten obwód nie wiem- był właśnie mój wójt Kędrka, jaki miał pseudonim nie wiem. Przed nim złożyłem przysięgę. Moim głównym zadaniem było manipulowanie kartami kontyngentowymi. To znaczy zwalnianie, fałszowanie kart kontyngentowych. Dokładnie pamiętam jak one wyglądały: były to niebieskie kartoniki formatu A-5, złożone na pół, nazwisko, wieś, no i kontyngent. Na tej karcie przy oddawaniu kontyngentu chłop dostawał stempel, że tyle a tyle oddał. Z takiego kontyngentu na 200 pudów robiło się kontyngent na 50 pudów. To było moje główne zadanie, jak widać taka cywilna służba. Kilka razy chodziłem z gazetkami, ale to za ledwie kilka razy. Tak wyglądał początek mojej AK-owskiej służby.]

Po jakimś czasie pan Maciaszek znikł, wyjechał, nie wiem co się z nim stało i ja zostałem sekretarzem gminy, i mimo że miałem te siedemnaście lat żadnych przeszkód nie było. Znowu po niedługim czasie, w końcu okupacja niemiecka nie trwała długo (po pracach, które wykonywałem wydaje się że to długo, ale nie trwało to po kilka miesięcy) czy ta gmina się przenosiła, czy coś się stało, nie pamiętam, w każdym razie w Juraciszkach powstał sąd rejonowy-oczywiście białoruski, białoruskiej władzy rząd w Mińsku, właściwie sądownictwo niezależne, trochę jest to groteskowe. Sąd pokoju, to się nazywało "Mirawyj Sud" po białorusku. Mogliśmy rozpatrywać tylko sprawy cywilne. Jak ktoś kogoś pobił to już do nas nie należało. Jakie cywilne sprawy: przede wszystkim spadkowe. Więcej rodzajów spraw nie było, aha i alimenty. A wszystkich ich w ciągu kilku tych dobrych miesięcy, bo dość długo byłem jak sobie przypominam, było osiem, dziesięć.

Sędzią był pewien Wilnianin, który zapewne z Wilna jakoś tam wyemigrował. Kto go sprowadził nie wiem. Miał mniej więcej siedemdziesiąt lat. Niemcy wprowadzili na Białorusi przedwojenne carskie prawa a on przed pierwszą wojną był "ziemskoj naczalnikom", znał ustawodawstwo cywilne carskie, wobec tego mógł być sędzią, i był nim. Najpierw byłem tam protokolantem. Przyjechał z nim sekretarz równie stary - tacy dwaj starsi panowie. Sędzia był bardzo niski a sekretarz bardzo wysoki, tak jak ja. Zamieszkali w Juraciszkach. Był to trochę żałosny widok: ludzie wielkiego miasta i starszego pokroju a tu wieś, drewniane domy wszystko inaczej. Bardzo żałośnie wyglądali ale spełniali swoje funkcje dość poważnie. Sąd zatrudniał jak już wspomniałem sędziego, sekretarza, protokolanta i woźnego. Woźny to był młody człowiek spod Juraciszek, który umiał po swojemu mówić ale ja musiałem nauczyć go po białorusku, ale języka sądowego. Pamiętam, że go uczyłem co trzeba mówić, gdy otwiera drzwi z gabinetu sędziego (trzeba też umieć wyobrazić sobie ten gabinet) na salę rozpraw, bo sąsiadowały ze sobą. Cały sąd mieścił się w chałupie wiejskiej. Mówię mu tak: jak pan drzwi otworzy - mówię mu po polsku - to pan powie "Proszu wstać sud idzie". On wbił sobie do głowy jak należy powiedzieć poważnie: "Proszu wstać sud idzie", no i rzeczywiście sąd wchodził.

Sędzia był człowiekiem poważnym i nie mógł dla jednej sprawy ogłaszać wokandy. Na wokandzie jedna sprawa - to żałosny sąd, wobec tego czekaliśmy parę miesięcy aż zebrało się cztery, pięć spraw i wtedy wokanda, cztery, pięć spraw. Ludzie się mieszały, bo i tacy naiwni byli. O jakąś miedzę było nieporozumienie, o jakiś spadek, alimenty, kilka takich rzeczy. Jak to się odbywało: chłopska izba, jakoś tam urządzona - ławy, stół przykryty czerwonym suknem oczywiście. Za stołem fotel pamiętający na pewno XIX wiek, obity czerwonym pluszem, wysokie oparcie, trochę podarte, więc ja trochę poprzipinałem. Obok stolik, przy którym ja siedziałem i protokołowałem rozprawę. Tak to się mniej więcej odbywało. Może powiem zabawną historię: przyjechała dziewczyna spod Baki, to dwadzieścia parę kilometrów szukać sprawiedliwości a mianowicie alimentów. Wtedy ja już byłem sekretarzem, gdy tamten szybko pojechał a sędzia trwał jeszcze na stanowisku, więc ja byłem zawsze w sekretariacie po ileś godzin dziennie. Sędzia był u siebie, co robił za chwilę powiem. Przychodzi dziewczyna z płaczem, przede mną się wypłakuje, ja tam notuję co powie, co trzeba w końcu mówić jej,

że przyjdzie wezwanie. Powiedziałem, że za dwa miesiące czy coś takiego. Ale po miesiącu ona znowu przychodzi do mnie do domu i przynosi mi litr miodu (po sam wierzch). Mieszkaliśmy blisko. Ona przychodzi, żeby przypomnieć o sprawie, o opłacie. A ja, urzędnik sądowy, tem miód z powrotem jej w garść wciskam i mówię, że nie trzeba, niech idzie, że przyjdzie, że to, że tamto, niech czeka. Oczywiście wiem, że to wszystko jest takie jakie jest ale odgrywam jakąś tam rolę tego sekretarza. A ponieważ wszystko było nieduże, to chyba było w kuchni, ojciec przynajmniej był, może matka, i widzę, że ojciec siedzi przy drugim końcu stołu i patrzy na mnie i tylko się uśmiecha. Nie wiem co myślał a ja ten słoik miodu oddaję. Ona wzięła i z płaczem poszła.

Sędzia mieszkał w tym samym domu co sąd. Jak chłopskie domy wyglądają na Białorusi: sień, po jednej stronie jest jedna izba, po drugiej inna. To wyglądało tak, że po jednej stronie były dwie izby i tam była sala, dalej był gabinet, a po drugiej stronie mieszkał sędzia.

Przyjechał ktoś potwierdzić testament, żeby po śmierci testatora testament wszedł w życie musi być zarejestrowany w sądzie. Wziąłem do ręki testament repetytorium otworzyłem i przeczytałem. Pamiętam pierwsze słowa testamentu, bo takich kilka testamentów zarejestrowałem: "Przede mną Romanem Kuchcińskim notariuszem ... itd. Zarejestrowałem testament, w repetytorium pieczęć postawiłem i teraz powinien podpisać sędzia. Wobec tego biorę testament i idę do sędziego, żeby podpisał. No i co ja widzę: przy stole sędzia siedzi, ręce na stole, głowa na rękach oparta bezwładnie; przed nim butelka wódki przewrócona, inna stoi jeszcze nie dopita, szklanka. A tam interesant i trzeba go załatwić. Szarpię za ramię sędziego, on podnosi głowę, jakoś go dźwigam. Widzę, że jest półprzytomny ale podpisać trzeba, wciskam mu do ręki pióro, chwytam za rękę i tą ręką wodzę po papierze. Ale czy ja nie uważałem, czy on drgnął pod wpływem derilium, w każdym razie zrobił się jakiś straszny zygzak. Nie mogłem tego papieru zanieść do tego człowieka. Acha, to chyba nie mógł być testament, to musiał być odpis, bo ja to zatrzymałem a testamentu nie mógłbym zatrzymać. Wracam i mówię do interesanta: "Proszę pana, niestety proszę przyjechać jeszcze raz za dwa tygodnie to pan odbierze".

Po pewnym czasie, czy ten sąd został zlikwidowany? Chyba tak. Ten sąd został

zlikwidowany, sędzia się wyniósł. Jeszcze o widoku jaki miałem z okien tego Siedzę tam raz, w tej mojej kancelarii, dłużej tam nie siedziałem niż dwie, trzy godziny i w pewnym momencie słyszę strzał za oknami - wyglądam i widzę, że leży trup. Wiedziałem nawet kto to jest. Jakieś porachunki, jakiś wyrok ale to nie był wyrok AK-owski, to był wyrok chyba sowieckiej partyzantki, bo w okolicy była sowiecka partyzantka, chociaż czasem przychodziła AK, ale tu raczej było opanowane przez sowietów.

Zostałem przyjęty do jakiejś centrali mleczarskiej i wysłany do Mińska, to był rok 1944 zima, styczeń na kurs mleczarski. Co tydzień przyjeżdżałem do domu na sobotę i niedzielę. W warunkach dość surowych jeździłem do Mińska wagonem towarowym w zimie. W Mińsku na tym kursie mleczarskim było dość sympatycznie, prowadzili go Rosjanie. Wielu rzeczy się dowiedziałem o mleczarstwie. Jak wróciłem zostałem laborantem w jakiejś mleczarni, gdzie badałem zawartość tłuszczu w mleku.

I tak zbliża się lato 44 roku. Może warto powiedzieć o Niemcach w Juraciszkach. Nas z majątku wysiedlono a osadzono duży oddział niemiecki, który otoczył się drutem kolczastym. Oni nie byli zbyt groźni. Właśnie w tym czasie zaczął nas odwiedzać jeden z Niemców. Okazało się, że to był ksiądz z Żrudnika. Zawsze jest przyjemnie kogoś odwiedzać, był naszym gościem. Było bardzo sympatycznie. Rozmawiałem z nim dużo po niemiecku, trudno mi jest powiedzieć o czym rozmawialiśmy. Opowiadał o Polakach, bo to na śląsku miejscowa ludność spowiadała się po polsku. Mówił, że może słuchać spowiedzi po polsku ale mówić nie może. Ja chętnie ćwiczyłem swój język niemiecki, więc rozmawiałem po niemiecku. On nauczył mnie "Ojcze nasz" po niemiecku. Zupełnie nie pamiętam jego nazwiska. Ci Niemcy nie byli uciążliwi dla samych Juraciszek, chociaż jak zbliżał się front, koniec okupacji niemieckiej to może tak nie. Jeśli powiem, że nie byli groźni dla samych Juraciszek to w okolicy ciągle zdarzały się, powtarzały eksterminacje. Zresztą nie ta załoga to robiła, tylko z większych zgrupowań przysyłano pacyfikacyjne oddziały przeciwko sowieckiej partyzantce. Z drugiej strony sowiecka partyzantka mściła się na miejscowej ludności i ciągle dochodziły do nas wiadomości o tym, że wymordowano rodziny, kilka rodzin. Sowietci mordowali raczej pojedyncze rodziny albo po kilka rodzin, natomiast

Niemcy ekstreminali całe wsie. Ja dokładnie pamiętam ekstreminalcję wsi Jatołtowicze. To było w lecie w 43 roku, napewno, bo wtedy jeszcze pracowałem w zarządzie gminy a pod koniec lata już pracowałem w mleczarni. W lecie 43 r. zrobiono zasadzkę na Niemców w okolicy Jatołtowicz (Jatołtowicze-6 km od Juraciszek) na szosie, która prowadziła z Juraciszek przez Iwie i Piszki do Lidy-na zachód. Dowiedzieliśmy się, że po zasadzce, oczywiście o samej zasadzce nie wiedzieliśmy, Niemcy otoczyli wieś, spędzili wszystkich ludzi do jednej stodoły i spalili. Mówiono, że spalili połowę wsi, druga połowa uciekła. Spalono podobna dziewięćdziesiątkilka osób. To rzeczywiście była niewielka wieś. Teraz jest tam postawiony niewielki obelisk, ponieważ przejeżdżałem półtora roku temu tą szosą, rzuciłem okiem i stał obelisk. Innych nazw ekstreminalowanych wsi nie znam ale było ich trochę. Zresztą zdaje mi się, że na wschodniej Białorusi tych ekstreminalcji było więcej.

Jeśli chodzi o morderstwa ze strony sowieckiej, to się często słyszało. Przywiązywali ludzi do drutu kolczastego, do drzew przy których były mrowiska. -A nie był się pan zagrożony? O ile wiem sowieci "polowali" na urzędników? Ale my byliśmy w Juraciszkach pod ochroną tego oddziału. Oczywiście groźba, że ta partyzantka napadnie na Juraciszki była-w 44 roku ona już narastała. Na wiosnę 44 roku przenieśliśmy się z samych Juraciszek do Lepiesz. Była to wieś leżąca tuż obok stacji Juraciszki. Same Juraciszki leżą 4 km od stacji "Juraciszki", natomiast przy stacji są Lepiesze. Logika nazwy tej stacji pochodzi stąd, że nazwa ta odpowiada nazwie stolicy gminy, na której ta stacja leżała. Tam się przenieśliśmy i tam przeżyłem napad partyzantów. To był maj czy czerwiec, front nie był daleko, słychać było wybuchy armat. Ja do tej mleczarni chodziłem, nie chodziłem, już nie pamiętam, bo wszystko się rozsprzęgało. Ten napad miał na celu obezwładnienie raczej załogi stacji. Wtedy chyba stał pociąg z Niemcami czy coś takiego, strzelanina była. Do domu, w którym mieszkaliśmy wpadli partyzanci: "chcemy chleba i nic więcej!" Gospodyni dała im po ćwiartce. Ja spałem na strychu. Jakoś to przeszło, bo oni byli zajęci walką. Mogło być groźnie tylko przez przypadek, jakoś mi się udało. W tym czasie jak mieszkaliśmy w ^{Lepieszach} ~~Juraciszkach~~ Juraciszki zostały napadnięte. Jakoś się od tego wywinęliśmy. Stacja kolejowa była cztery kilometry od nas

a więc linia kolejowa biegła w jakiejś odległości zwiększającej się. Ciągłe słyszało się o wysadzaniu torów kolejowych. Były one wysadzane nie tylko przez sowiecką partyzantkę ale przez polską też, dlatego że wzdłuż tej linii kolejowej działała także polska partyzantka. Im bliżej Juraciszek tym więcej sowieckiej partyzantki, chociaż po drugiej stronie torów-po północnej Jeżeli idzie o Białorzsínów czy problem białorwski, po prostu nie zauważyłem jakiegoś antagonizmu polsko-białoruskiego. Nie interesowało mnie kto jest Białorusinem a kto nie. W środowisku, w którym ja byłem, to są miejscowi ludzie w jakimś stopniu są to Białorusini to się ani nie rozważało, ani nie dyskutowało, nie było przyczyn aby coś o tym mówić. Wśród moich znajomych i wśród rówieśników, starszych prowadziło się różne rozmowy ale tego rodzaju-nigdy. Dlatego ja to z naciskiem podkreślałem, że teraz dużo się mówi o różnych incydentach czy nawet ekscesach. Ja się z tym nie zetknąłem: pełne zaufanie wokół do mnie i moje. Ale atmosfera była dość rozległa.

[Przyszedł lipiec 1944 roku] na dobre front się zbliża. Czuje się już pewne rozprężenie. Niemców, w gruncie rzeczy nie było wielu i nawet nie tędy główne masy przechodziły, więc nie widziałem wielu wojsk niemieckich przechodzących. Wojsk rosyjskich też nie widziałem, tylko po przejściu frontu, który swoimi zasadniczymi klinami gdzieś tam dalej przeszedł zaczęli się pojawiać maruderzy. To było niebezpieczne. Lipiec, więc ciepło, ja nocowałem w stodole (w sąsiedku łóżko było wstawione), miałem stół, jakąś szafę i w pewnym momencie przyszli tacy maruderzy. Poszli do domu, do matki, po chleb, trzeba było coś dać. Kilku ludzi weszło do stodoły, ja tam byłem. Pytają mnie czy mam broń. Ja mówię, że nie mam. Dali mi spokój ale przeżyłem moment strachu po prostu dlatego, że w szufladzie tego stołu miałem pociski-broni nie miałem ale pociski miałem.

[Koniec lipca. Sowiecka władza jakoś się tam usadawia. Pojawia się ogłoszenie: roczniki od 26 do któregoś tam starszego, pięć, sześć roczników mężczyźni mają się zgłosić tam a tam do wojska. Ja jestem 25 rocznik, przychodzę na miejsce zbiórki-to miejsce zbiórki było dokładnie 26 lipca-w jakiejś wsi ta zbiórka była. Zgłosiło się kilkuset młodych ludzi. Jakiś oficer sowiecki zapisuje, zrobił spis. Podzielił wszystkich na plutony po 40 osób i mnie wyznaczył na plutonowego jednego z takich plutonów "zwadnoj": "Ty budiesz

zwadnoj". To byłem dowódcą tego plutonu. Chyba nas wtedy rozpuszczono i kazano przyjść następnego dnia z jakimś przygotowanym jedzeniem i być przygotowanym do drogi do Lidy. Do Lidy jest stamtąd około 60 km i mieliśmy pójść pieszo do Lidy, tych kilkuset mężczyzn poborowych. Do Jatołtowicz, do których było 10 km - z Juraciszek sześć a do Juraciszek jeszcze cztery z tych Lepieszy - szliśmy cały dzień. Ja przypominam, że pielgrzymki do Częstochowy robią po 40 km dziennie. Tutaj kilkuset zdrowych mężczyzn szło 10 km cały dzień.

Pod Jatołtowiczami mieliśmy zanoć, obok była jakaś inna wieś i tam w stodółach mieliśmy nocować. Myślę sobie: co mam iść do Lidy piechotą - lepiej jest pojechać. Bałagan był jak wszędzie, wszyscy się porozchodzili, oficer też na nikogo nie patrzy a ja mówię do Olka Domaszkiewicza mojego kolegi ze szkoły: "wiesz co, stańmy na szosie, zatrzymajmy jakąś ciężarówkę i my do Lidy dojedziemy". No dobrze. Stanęliśmy. I rzeczywiście zatrzymuje się ciężarówka, oczywiście wojskowa. Pytam go, czy możemy się zabrać do Lidy - "To się zabierajcie". Wsiadliśmy do ciężarówki i po godzinie, półtora zajechaliśmy do Lidy.

Oczywiście, żeby się połączyć z tą grupą poborowych nie było mowy. Zostaliśmy więc w Lidzie i rzecz jasna trzeba coś z sobą zrobić. Już w Lidzie jest dużo wojska, ta władza jest już ugruntowana, taka rozpanoszona. Gdzieś zamieszkać wprawdzie miałem kolegów ale było niebezpiecznie. Wtedy zdecydowałem się pójść do partyzantki. I we dwóch, z Olkiem Domaszkiewiczem poszliśmy do folwarku Rekście, niedaleko Lidy. Folwark mojego dziadka - Stanisława Krasnodębskiego, dziadka stryjecznego to znaczy brat mojego rodzzonego dziadka Feliksa Krasnodębskiego - był jego przed wojną. W tym czasie co mówię były tam też obie córki z mężami, znaczy ciocie z mężami, była babcia Pomurzyńska. I do nich przyszliśmy. Mąż jednej z moich ciotek Harasimowicz był jakoś związany z oddziałem i on po prostu nawiązał kontakt. Trafiłem do kompanii "Piona" - oczywiście pseudonim "Pion" - jego nazwisko Pazurkiewicz. A dowódcy - Zajączkowski. Trafiłem do kompanii "Piona", nie miałem żadnego przeszkolenia. Dostałem karabin. Powiedziano mi: tu jest zamek, tu jest kolba, tu jest lufa, tu jest magazynek i tak się strzela. To był karabin niemiecki. To było całe szkolenie. Domaszkiewicza też. W tej kompanii "Piona" było trochę starszych partyzantów z czasów niemieckich i część takich jak ja. Do jakiego plutonu trafiłem i kto był moim dowódcą

nie pamiętam. Z pseudonimów pamiętam jeszcze tylko jeden, mianowicie szefem kompanii był "Ojciec" (nazwiska nie pamiętam). Ja przyjąłem pseudonim "Ryś" a mój kolega, może "Orzeł", ale nie pamiętam.

-Kiedy to było?

To był sierpień 44 roku, początek sierpnia 44r., bo 26 lipca tu trafiłem.

Gdzie to było?

Więc ja wyruszyłem z majątku Rekście. Gdzieś mnie prowadzono kilka kilometrów i trudno mi jest powiedzieć. Przez jakiś czas po prostu chodziliśmy, kryliśmy się. Nasz pluton w zasadzie sam chodził. [Cała kompania zebrała się kilka razy. Mówiąc tamtym językiem: koncentracja kilka razy się odbyła. I widziałem Ragnara ze dwa, trzy razy. Więc chodziliśmy sami. Było nas około trzydziestu, to była dość duża gromada. Ale wieści ze wsi były zawsze takie, że przeszło stu partyzantów. W tej trzydziestce takich jak ja, to znaczy, którzy się ukryli w las-przed wojskiem i z innych powodów-byli też starzy partyzanci ale było też trochę z Warszawy (pięciu, sześciu czy siedmiu), to pamiętam dobrze, że było kilku warszawiaków.] Akcji było niewiele. Ja może o niektórych z nich opowiem. Mianowicie o Katyni. Gdzieś tam do naszego dowódcy dotarł jakiś meldunek o srożeniu się któregoś z sekretarzy partyjnych w jakiejś wsi czy miasteczku. Zawyrokowano, że trzeba go zabić. Zrobiliśmy na niego zasadzkę. Chodzi mi o to, że takie rzeczy robiono, to znaczy miejscowych komunistów-ale tych co do których były jakieś skargi- na nich wykonywano wyrok. Jak wyrok wykonywano trudno mi jest powiedzieć. Zrobiliśmy też zasadzkę na jakiś oddział milicji w nocy i rzeczywiście była niewielka potyczka, i ten oddział umknął nam po prostu. Czy po stronie tych milicjantów były jakieś straty? Trudno mi jest powiedzieć. Po naszej stronie był jeden ranny. To było dosyć skromne, po prostu dlatego, że nasycenie tego terenu wojskami sowieckimi było ogromne i narastało. Nieraz podchodziliśmy pod jakąś wieś i okazywało się, że tam są Sowietci. Naprawdę trudno było chodzić, żeby się ukryć. Może jeszcze opowiem o pewnym incydencie, według mnie bardzo interesującym a już innego typu. Dołączył do nas oddziałek niemiecki, który gdzieś po lasach się tułał. Uzbrojony był świetnie i umundurowany (w "panterkach"). Kilkunastu. Przez kilka dni z nami chodzili-my szliśmy przodem, oni z tyłu. Ale dokładnie nie pamiętam. Zresztą Niemcy musieli się nas bać, bo nie mogli

mieć dwóch wrogów. I to trwało pięć dni, po prostu "Pion" czekał na rozkaz co zrobić. I rozkaz przyszedł. Pewnego razu jesteśmy na polanie w lesie, w dwuszeregu zbiórka. Wszyscy stoją, Niemcy też. Nas jest właśnie koło trzydziestu. W dwuszeregu zbiórka, drugi szereg w tył zwrot, jakoś tam było: odlicz. Przepraszam, ^{pierwszy} ~~drugi~~ szereg w tył zwrot, broń w "kozły". Jak to się zaczęło, to ja zauważyłem, że "Pion", "Ojciec" i dowódcy drużyn, chyba pięciu stało obok "Piona" z bronią, z pepeszami, nawet nie z pepeszami tylko chyba z niemieckimi karabinami maszynowymi. Jak pierwszy rząd się odwrócił, broń w kozły (każdy wie jak to się robi, ja już umiałem). Pierwszy szereg w prawo zwrot, drugi szereg w lewo zwrot - naprzód marsz. Mniejsza o to, który w prawo, który w lewo. Oba szeregi w jednym kierunku idą. Jak cały oddział opuścił broń złożoną w kozłach to wtedy tamtych pięciu podeszło do Niemców i..., no i nic, powiedziano im tylko, że mają sobie pójść. Rozbrojono ich i puszczono. Tak ta sprawa została załatwiona. My dalej ukrywaliśmy się po tych lasach. Raczej to był czas ukrywania się. Były miejsca do których mogliśmy przyjść, byli ludzie, którzy wiedzieli, gdzie można nas zamelinować. Czasami dzień, czy kilka dni siedzieliśmy w jednym miejscu, w jakiejś stodole, ale często w lesie, po prostu w szalaszach, który sobie robiliśmy. Później zaczął deszcz padać, zrobiło się gorzej, trudniej. [I przyszedł koniec października, trudno mi powiedzieć, ale raczej listopad i przyszedł rozkaz rozformowania się - każdy mógł pójść gdzie chce. Kilku było miejscowych to poszli do wsi. Ci warszawiacy co robili nie wiem. Być może utworzyła się jakaś grupa, która przedzierała się na zachód. Pamiętam, że o tym ja wiedziałem, i że zastanawiałem się nad tym. Postanowiłem wrócić jednak do rodziny, przede wszystkim do Lidy, nie wiedziałem co jest z ojcem.] W listopadzie w kilku postanowiliśmy wyruszyć do Lidy, a przynajmniej w tym samym kierunku do Lidy, bo było nas czterech, a w końcu do Lidy dotarłem ja sam. Co z Olkiem Domaszkwiczem się stało nie pamiętam, gdzieś sobie poszedł. Oczywiście dano nam instrukcje, pokazano jak trzeba iść. Było to dobrze przygotowane. Szedłem do tej Lidy chyba dwa dni, bo my chodziliśmy w rejonie Niemna, w okolicy Żołudka, Szczuczyna, tak że dość daleko od Lidy odchodziliśmy. Gdzie byliśmy, gdy nas rozformowano, trudno mi jest powiedzieć. Broń gdzieś w lesie zakopaliśmy.

Musiałem iść przez Dzitwę, to jest bardzo rozlewista rzeka, przejść przez nią bardzo trudno. Pokazano mi na mapie jak dojść do wsi, która leży nad Dzitwą. Opisano mi dokładnie dom, do którego mam zapukać. Zapukałem do okna narożnego. Lufcik się porywał. Powiedziałem hasło. Człowiek nałożył kożuch na siebie i wyszedł. Przeprowadził mnie przez Dzitwę. Ta droga trwała dobre pół godziny. Przez groble, przez jakieś pnie, przez kładkę. Po tym przejściu poszedłem prosto na północ. Pamiętam prosto na północ - Gwiazda Polarna, gwiazdziste niebo, chociaż księżyc nie było. To też świadczy o ludności. Jeszcze jeden przypadek to ilustruje. Mianowicie zbliżałem się do Lidy a to listopad, dzień krótki więc przed wschodem słońca tam już byłem. Docho- dziłem do torów kolejowych i zauważyłem działą i żołnierza. Przestraszyłem się, cofnąłem, czuję, że muszę przeczekać. Postanowiłem zajść do jakiegoś domu. Jakieś światło się świeci. Zapukałem, kobieta otworzyła, spojrzała na mnie. O nic nie zapytała. Upiekła chleb. Zapytała czy jestem głodny. Nakarmiła. Przeby- wałem w cieple i po godzinie czy po półtora wyszedłem. Nie miałem żadnych oporów, żeby zapukać i poprosić.

Po rozwiązaniu oddziału szliśmy jeszcze we trzech na dzień, żeby nie trafić w ręce wroga. Postanowiliśmy zatrzymać się w pewnym hutorze. Opuszczony hutor, szopa, zagroda, drabina oparta o ścianę prowadząca na wyższe piętro. Weszliśmy po tej drabinie na to wyższe piętro a tam trochę słomy. Postanowiliśmy spędzić tutaj dzień. Było nam tam przyjemnie. Jakoś przez otwór u szczytu nie zabity deskami grzało nas słońce. Odpoczywaliśmy i nagle słyszymy turkot, wozy jadą drogą i wóz, wielki wóz znajomy na przodzie. No i cyrk. Wjechali na podwórze. Dwóch wysiadło, zaczęło chodzić i szukać drzewa. Domyśliliśmy się, że gdzieś w pobliżu jest ich kuchnia polowa. Ale myszkują. I w pewnym momencie mówią, że tutaj są pszczoły czy osy - pod tą naszą szopą, żeby wykurzyć. Jakoś do tego nie doszło, nie pamiętam czy te pszczoły wystraszyły, w każdym razie chodzili koło tej drabiny, słoma trzeszczała. Wejdą czy nie wejdą i nie weszli.

Ostatniej nocy było nas tylko dwóch, bo jeden odszedł przyszliśmy do zagrody już zamieszkałej, po cichu, tak że nawet pies nie zaszczekał i schowaliśmy się, bo byliśmy już dość zmęczeni w tej stodole - między ścianą stodoły a sterty zboża. Zboże już było wytłuczone więc leżały snopy. Postanowiliśmy przeczekać

noc i następny dzień, nie pamiętam czy coś nas wystraszyło, że gdzieś są sowieci. W dzień otwierają się drzwi tej stodoły, skrzypią, żołnierze. Pytają się gospodarza: "kto u was?" JAK TO ŻOŁNIERZ sowiecki, niedbały zadowolili się odpowiedzią gospodarza, że nikogo nie ma. Poszedł. Oczywiście nie znalazł nas. Minął cały dzień, wieczorem już się ściemniło, z całą ostrożnością podeszliśmy do domu. Gospodarz wyszedł, zobaczył nas. O nic nie zapytał, dał jeść i poszliśmy spokojnie dalej. Nie przypominam sobie rzadnej rozmowy z gospodarzem. Ale przypominam sobie, że dobrze się najedliśmy a nie jedliśmy całą dobę, bo nie mieliśmy nic do jedzenia. Takie historie, wiem, że czasami kończyły się tragicznie. Żołnierze rzeczywiście włązili na "wyżki" jak to się nazywało i penetrowali stodołę a nawet długimi drutami nakłuwali słomę i zdarzało się, że ci co się tam schowali nie wytrzymywali bólu, krzyknęli i wpadali w ich ręce. My wyszliśmy z opresji szczęśliwie.

Wracam do momentu, gdy dochodzę do Lidy. Gospodyni, u której odpocząłem, rozgrzałem się, najadłem wyszedłem od niej. Poszedłem do swoich znajomych, do rodziców mojego kolegi, do państwa Kra ssowskich. Michał Krassowski to mój kolega, który jeszcze jest i mieszka w Białymstoku, nieco ode mnie starszy i utrzymuję z nim dość duży kontakt. Nawet co kilka lat odwiedzam go. Tam oczywiście załamano nade mną ręce, nad moim wyglądem, nad moim stanem, bo byłem wychudzony, wygłodzony. Trzeba po prostu powiedzieć - zawszony. Żelazko poszło w ruch, pranie poszło w ruch. Oczyszcilem się z tego wszystkiego i tu dowiedziałem się, że mój ojciec jest aresztowany. Jak wspominałem zostawiłem swoich rodziców w Lepie-
szkach, w okolicy Juraciszek. Dowiedziałem się, że się z powrotem przenieśli niemal do Juraciszek, to znaczy do wioseczki, która była blisko Juraciszek. I tam ojca aresztowano, po prostu był Polakiem. Pracował za niemieckich czasów w administracji cywilnej. Mniejsza o to jaki był powód, po prostu aresztowano dość powszechnie Polaków a zwłaszcza inteligentów. Zoatał aresztowany wkrótce po moim odejściu do partyzantki. Moja matka początkowo nosiła jedzenie do Lidy do więzienia. Potem został wywieziony do Mińska i ślad po nim zaginął. Opowiem o moich staraniach po wojnie, żeby dowiedzieć się gdzie jest ojciec. Kilka razy pisałem do władz sowieckich. Odpowiedzi nie ptrzymałem. Pośrednio dowiedziałem się, a wiadomość jest prawdopodobna, chociaż niepewna, że mój ojciec zmarł w

Mińsku w więzieniu. Był zresztą niezbyt mocnego zdrowia, był bardzo wrażliwy, wystarczy spojrzeć na fotografię: to jest ktoś wrażliwy, niezbyt mocny, widać to po wyrazie oczu, twarzy. Mogę powiedzieć, że wkrótce po wojnie, po aresztowaniu zmarł. Gdy został aresztowany miał 53 lata, nie jest to późny wiek, niemniej jednak poważny. Prawdopodobnie dalej niż do Mińska nie został wywieziony. Jestem w Lidzie. Co robić? JEDNA Z MOICH koleżanek gimnazjalnych, Leokadia Kryszejko obecnie mieszkająca w Łodzi o podwójnym nazwisku Niesiołek, jest w tej chwili profesorem biochemii Uniwersytetu, no w tej chwili już chyba nie jest, chyba jest na emeryturze. Ona pracowała w "Wojenkomacie", urzędniczka w "Wojenkomacie". Wypisywała, wypełniała między innymi blankiety tak zwanej "bronikowki"-to był dokument, który bronił od poboru do wojska. Młody człowiek z rocznika poborowego, gdy taki dokument okazywał na ulicy jakiemuś patrolowi to był bezpieczny. Postanowiła wyrobić mi taki dokument i rzeczywiście napisała. Przedstawiła go komendantowi do podpisu. Ona nie wie i ja nie wiem w jaki sposób on sprawdził, że to jest podstawiony dokument, nie tyle fałszywy ile bez żadnych podstaw. Podobno wybiegł ze swojego gabinetu i wołał: "Kto eto taki maszennik sriedi nas? (Kto jest taki podły pośród nas?) A drugie pytanie: "Kto eto takoj Krasnogębijskij? Przekreślił moje nazwisko. Charakter pisma jest jasny, no więc strach padł. Jak się wybroniła, jak się wygadała, że nic się jej nie stało trudno ni jest do dnia dzisiejszego powiedzieć, chociaż widuję się z tą koleżanką co parę lat, może jakieś szczegóły mi kiedyś powie. Wygląda na to, że go przekonała dziewczyna, że nie ma co robić z tej sprawy wielkiej historii. Mogę powiedzieć, że znowu mi się udało. [Ale pozostać w Lidzie było niebezpiecznie.] Najpierw myśl była, abym jako murarz czy stolarz, trochę nie pamiętam, ale wysokiej klasy specjalista, gdzieś do jakiejś brygady budowlano-remontowej przystał, czy został przyjęty (ktoś miał możliwości, żeby mnie tam wcisnąć po prostu). Trochę bałem się, chociaż trochę umiałem jednego i drugiego ale obawiałem się. W końcu postanowiłem za czyjąś radą pojechać do Wilna. Pojechać do Wilna to tak prosto powiedzieć. [To jest przecież listopad 44 roku, a więc po tej akcji w Górach, po aresztowaniu przywódców AK w Wilnie, po wywiezieniu jak wiadomo 7 tysięcy "akowców" z Miednik i okolic. Nie jest więc to takie proste. Niemniej jednak trzeba działać, nie ma co się

zastanawiać, trzeba podejmować ryzyko bez większych deliberacji. Bez żadnych dokumentów, może miałem jakąś kenkartę ale to wszystko, żadnego rosyjskiego dokumentu wsiadłem do pociągu towarowego i dojechałem do Wilna. Dojechałem do Wilna i poszedłem od razu do państwa Mościckich. Adres Mościckich pamiętałem z Juraciszek, ponieważ kolega Czesława Mościckiego, o którym za chwilę, Julian Niesłuchowski obecnie gdzieś tam w Aleksandrowie Kujawskim (dawno go nie widziałem) był w Juraciszkach i opowiadał mi o swoim koledze gimnazjalnym Czesławie Mościckim - na ulicy Kasztanowej 6 mieszkania 16 czy 16 mieszkania 6, mniejsza o to. Adres pamiętałem i to pewnym przypadkiem, pamięć mi wtedy bardziej dopisywała i do nich się zgłosiłem. Powołałem się właśnie na Julka Niesłuchowskiego. Oczywiście przyjęty z otwartymi ramionami, zaopiekowano się mną. Czesław Mościcki to we Wrocławiu jest znane nazwisko. Zmarł niedawno, mniej więcej przed miesiącem. Nie pod Miednikami nie był aresztowany, bo to było wcześniej niż ja tam byłem, ale został aresztowany o ile wiem w lutym 45r. po moim wyjeździe z Wilna, o czym za chwilę. Był w Kałudze ze dwa lata, wrócił do Wrocławia, bo tam była jego rodzina a napewno matka. Tutaj zapisał się do partii, został dyrektorem II Liceum Narozenbergów, które pan kończył. Jak pan wspomina dyrektora? źle. Widzi pan, o nim pan pierwszy raz słyszy w tych opowieściach. Tutaj jego historia jest znana, więc nie warto mówić. Ale wówczas pomógł mi ogromnie. Był oczywiście w AK, był w jakichś służbach cywilnych i myślę, że dobrą miał tam pozycję i był tam na pewno nieźle zasłużony. Czy był gdzieś w "lesie" trudno mi powiedzieć. Może nawet nie był. Ale w służbach cywilnych chyba dość dużo robił, na pewno był w dokumentacji. A dlaczego to zaraz powiem. Jaką pomoc mi okazali? Otóż pan Czesław Mościcki, starszy ode mnie o dwa czy trzy lata pracował jako magazynier w szpitalu kolejowym przy Placu Łupiskim, znanym z historii wszystkim w Polsce. W tym szpitalu zostałem statystykiem - urzędnikiem, dowiadywałem się o różnych chorobach, o ich nazwy. Nigdy medycyną się nie interesowałem ani przedtem, ani wtedy, ani potem. Przypominam sobie, że z lubością pisałem taką nazwę jak: pulchus duodemi. W każdym razie dobrze mi tam było. Zamieszkałem u siostry, która znacznie wcześniej, ze dwa, trzy lata jeszcze za niemieckiej okupacji pojechała z mężem do Wilna i tam mieszkała. A jej mąż miał jakieś koneksje

rodzinne. Oczywiście z jedzeniem było kiepsko, w mieszkaniu było dość zimno, były to trudne czasy. Trzeba pamiętać - grudzień 44 rok to były ciężkie czasy. Jak byłem głodny to pan Mościcki dawał mi z magazynu pół bochenka chleba. Bywałem także u jego brata, który był pracownikiem piekarni. Po każdej takiej wizycie bochenek białego, pięknego chleba dostawałem. Miałem też w Wilnie ciocię, która mieszkała tutaj od lat, więc do niej też chodziłem na obiady. Dożywiałem się więc na różne sposoby. Pan Mościcki wyrobił mi kartkę na obiad, gdzieś w jakiejś charytatywnej instytucji, chyba zakonnej. Tak więc zdarzało się, że dziennie jadłem trzy obiady: u państwa Mościckich, u cioci i w tym zakładzie sióstr (tak, to był zakład Sióstr). Gdy przyjechałem do Wilna ważyłem 64 kilo, jak na mój wzrost to rzeczywiście było mało.

Przyjechałem jako Krasnodębski, ale ponieważ moje nazwisko było już gdzieś zanotowane trzeba było zmienić nazwisko. Pan Czesław Mościcki wyrobił mi kenkartę na nazwisko Wiśniewski, czy imię Ryszard to tego nie pamiętam. Taką porządną kenkartę dostałem w ciągu tygodnia czy dwóch. Ale zdarzyło się tak: na sylwestra byłem u brata Czesława Mościckiego na ulicy Polnej. Wracać trzeba było niezbyt późno, bo w nocy była godzina policyjna i wracałem o zmroku Krzywym Kołem. To jest taka ulica krzywa i kolista otoczona pagórkami. Na tych pagórkach domy, wille. Oczywiście nie zamykana. Śnieg. Idę ścieżką wydeptaną, ślisko i na przeciw mnie przedziera się dwóch "palicow". Jeden mnie zatrzymuje i pyta się: "u was diengi jest?" Nie! Zaczyna od tego: "wy prikaz Stalina nomier szest znajetie?" Ja: nie znam. A że ludzie w tych rocznikach jutro muszą się stawić na dworzec. Przedtem zażądał ode mnie kenkarty i ja mu tę kenkartę podałem. On trzyma ją w swoich rękach i pyta się o pieniądze. Ja mówię, że nie mam, bo rzeczywiście nie miałem i wtedy spogląda na moje buty. Wtedy miałem bardzo porządne saperki. "U was sapagi charosziye". Ale wtedy jeden z żołnierzy zauważył innego przechodnia na tej ulicy, po drugiej stronie i ja zostałem sam na sam z tym jednym żołnierzem. Niewiele się namyślając robię w tył zwrot i zaczynam uciekać. Całe szczęście, że pepesza nastawiona była na pojedyncze strzały. Oddał do mnie kilka pojedynczych strzałów, nie trafił. Skręć w lewo, pod górę, cmentarz żydowski. Schowałem się za pomnik i nasłuchuję. Nikt nie biegnie, więc poszedłem do domu. Ale straciłem dokumenty.

Poszedłem wtedy do pana Mościckiego i mówię mu o tym. On mówi, że trzeba wyrobić dokumenty. Zrobienie porządnej kenkarty musiało trwać trochę dłużej, to z dnia na dzień zrobił mi odpis metryki, tym razem na nazwisko Ryszard Danielski. Rocznik 22 czy 23. Z tym dokumentem zaczęłem chodzić. Ostrożnie, nie za dużo, ale trzeba było pójść na obiad do cioci, do pracy. Na ulicy patroli było naprawdę dużo, sprawdzano dokumenty zwłaszcza u młodych ludzi. To było chyba 7 czy 8 stycznia; szedłem właśnie z tego szpitala po południu na obiad do cioci przez most Zielony. Teraz obok tego mostu został wybudowany drugi piękny most. To jest mniej więcej przedłużenie dawnej ulicy Mickiewicza, a teraz ta ulica nazywa się Giedymina. Na tym moście zatrzymał mnie patrol. Żądają ode mnie dokumentów. Ja pokazuję im metrykę, oczywiście mizerny dokument. Oddają mi go. Schowałem go, co nie jest bez znaczenia i każą mi iść z sobą. Przy tej kontroli zabrano kilkanaście osób. Młodych ludzi jak ja, ale też widziałem kobiety. Zebrano nas w jakiejś szopie na Zarzeczu. Po dwóch, trzech godzinach milicjant jeden czy dwóch wzięli nas na posterunek, tuż obok Placu Łopiskiego. Na tym posterunku posadzono nas za barierką, jaka jest zwykle na posterunku milicyjnym. Przed barierką, przy stole siedzi milicjant a my za nim. Siedzimy sobie na podłodze. Godzina piąta, szósta wieczór, dość już ciemno, to była na pewno sobota, i czekamy na komendanta, który wie co z nami zrobić. Ponieważ komendant tego posterunku nie przychodził przez kilka dobrych godzin (przyszedł koło jedenastej) ja się podnoszę i mówię do tego posterunkowego, że muszę wyjść. Po tylu godzinach trzeba swoje potrzeby załatwić. On zawołał z innej sali milicjanta i powiedział: "Kto jeszcze chce?" Podniosło się jeszcze trzech mężczyzn i wyszliśmy na ulicę. Ten budynek był tuż przy chodniku, to była kamienica dwupiętrowa, widziałem ją pół roku temu. Zejście było po schodkach. Ulica była zasadzona drzewami, korony tych drzew były metr nad głową ale nie więcej. Nie były to zbyt wysokie drzewa. Oczywiście wyszedłem z myślą. Milicjant stanął na schodkach. Rozsypaliśmy się, żeby załatwić potrzebę naturalną. Ponieważ miałem określone zamiary załatwiłem ją prędko. Zrobiłem dwa, trzy kroki oddalając się od tego milicjanta. Jakoś nie mogłem się zdecydować, wróciłem. Zbliżyłem się do niego, ale przychodzi taki moment, że trzeba uciekać i zacząłem biec wzdłuż tej ulicy. Głos milicjanta: stoj! stoj! Serie

z pepeszy. Usłyszałem szelest po gałęziach tych drzew i jedno szarpnięcie w ramię. Nie mocno, bólu nie odczułem. Róg sąsiedniej ulicy krzyżującej się z tą ulicą był bardzo niedaleko, ze dwie serie na pewno. Zdążyłem skręcić w prawo zanim zabrał się do trzeciej serii i pobiegłem parę metrów. Zobaczyłem po lewej stronie otwartą bramę, po lewej w tym sensie, że po drugiej stronie. Przebiegłem jezdnie, wpadłem do tej bramy. Tam podwórze było, jakieś oficyny, płot. Przeskoczyłem przez ten płot. On był dość wysoki, ale tam był śmietnik i on mi ułatwił. Duży dziedziniec i zorientowałem się, że to jest tartak, który przylegał do Wilii i niedaleko mostu Zielonego. Czy za mną biegł, czy mnie goniono? Trudno mi powiedzieć. Zaraz to się w pewnym stopniu wyjaśni. Trudno mi było potem uciekać ulicami, dlatego postanowiłem spędzić noc w tartaku. Nikogo tam nie było, noc, jedenasta godzina. Wpadłem do jakiejś szopy, w tej szopie była jakaś skrzynia, w skrzyni była dziura. Wczołgałem się w tą dziurę. Była to ogromna skrzynia chyba na trociny ale tych trocin niestety nie było. Wcisnąłem się jak najdalej, stuliłem się, oczywiście o zasnięciu nie było mowy. Usłyszałem szczekanie psa, jakiś łomot. Było mi zimno a to dlatego, że szedłem do cioci dosyć lekko ubrany - cienki sweter i cienka wiatróweczka, i kurtka z niezbyt grubą warstwą watoliny. To było niedaleko, ja byłem młody, poza tym nie miałem za bardzo w co się ubrać. Wszystko było dość lichawe jak na 18° mrozu w styczniu. O godzinie mniej więcej ósmej, to była już niedziela wychodzę, zbliżam się już do bramy tego tartaku. On był otoczony niewysokim płotem a właściwie belkami poziomymi. Nad najwyższą belką poziomą był jeszcze drut kolczasty. Zastanawiałem się przez chwilę czy przekroczyć ten płot niewysoki mimo drutu kolczastego. Była brama, jakaś stróżówka. Widziałem klamkę. Kręcili się już jacyś ludzie, niezręcznie więc było przeskakiwać. Nagle widzę jak w tej portierni miga światełko. Jak zobaczyłem światełko otwierają się drzwi, no i rosyjski głos: "Kto zdies?" Myślę sobie koniec. "Chodi sjuda" - wołają. A w tej portierni piecyk, na tym piecyku imbryczek bardzo przyjemnie sobie syczy - miła, spokojna atmosfera. Ci dwaj - żołnierz i cywil - czekają na zagotowanie herbaty, żeby zjeść śniadanie. Głosem skromnym, cierpiącym mówię, że siostra chora, że myślałem, że może tutaj znajdę trochę drzewa. W domu jest zimno,

trzeba napalić. Siostra ma gruźlicę. I tak płaczę nad niedolą mojej siostry. A oni: "No, my nie znamy kto ty? Zdies siewodnia noczu kawo to iskali". Myślę sobie niedobrze. A ten posterunek jest niedaleko - oddadzą mnie znów na ten posterunek. Uciekać nie ma jak, po prostu to nie jest możliwe. Po kilku moich prośbach, które nic nie pomagały oczywiście zamilkłem i siedzę, i czekam na rozwój wypadków. Oni sobie wypili herbatę, zjedli i idziemy. Wychdzą, okazuje się, że ten drugi to Polak z jakiejś służby litewskiej (Litwa niby była) cywilnej, a ten żołnierz był szoferem. I on mówi, że to jego maszyna tutaj stoi, to znaczy samochód ciężarowy, i że on pójdzie go uruchomić a on nagle "spychniet". To znaczyło, że ja mam tam blok podłożyć. Sytuacja jest zupełnie klarowna, na milicję. Wychodzimy. Ci panowie dwaj, ja przy nich. Myślę, że jest ogólnie taka zasada, że uciekać trzeba nie w każdym momencie. Trzeba czekać na jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności. Życie jest bogate i te okoliczności na ogół się nastroczają. Teraz znów okazja. Okazało się mianowicie, że szczęśliwa. Spotykamy kogoś idącego naprzeciw, kto był urzędnikiem z tej samej instytucji. Jest ich trzech: dwóch cywilów i ten żołnierz, kierowca jednocześnie i rozmawiają o organizacji jakiegoś wyjazdu. W pewnym momencie tamten urzędnik pyta się: "A kto to taki?" Drugi urzędnik, niedbały zupełnie mówi, że to ktoś kto był w tartaku i chciał drzewo kraść. A ten mówi: "Puścicie jewo". Pewnie Polak, pewnie ten też. Powiedziałem: "Do widzenia, dziękuję" i już chcę iść a żołnierz za rękę mnie trzyma. Sprawa została zakończona dość szybko i ja zostałem z tym żołnierzem. I pytanie zupełnie oczywiste: "U was wodka jest". Mówię przepaszajaco, że niestety wódki nie mam ale mam tutaj niedaleko w szpitalu "pietnaccat abiezin". bo poprzedniego dnia wszystkim urzędnikom rozdawano po 15 mandarynek. Ja je miałem schowane w biurku. Mówię, że pracuję w tym szpitalu, żeby poszedł ze mną. On się zgodził i idziemy. Proszę go, żeby poczekał na mnie przed bramą szpitalną a ja pójdę do mojej kancelarii i przyniosę pomarańcze. Poszedłem, wziąłem przyniosłem. Przepraszam, że nie ma 15-u tylko 14-e, bo jedną zjadłem. Dlaczego nie wyszedłem innymi drzwiami z tego szpitala to nie mogę zrozumieć. Wziął te 14 pomarańcz jako okup i poszedł sobie. Wtedy poszedłem do znajomych, do państwa Pogrzebalskich na Zyguntowską 8 i opowiedziałem co ze mną się działo. Chcę jeszcze powiedzieć

że jak siedziałem na posterunku przez wieczór poprosiłem jednego z milicjantów żeby zawiadomił państwa Mościckich, że ja tu jestem. Milicjant rzeczywiście to zrobił, to powszechnie się tak robiło. W każdym razie wiedzieli gdzie jestem. Myśleli, że już zginę. Jak znalazłem się u państwa Pogrzebalskich, którzy byli jakoś w kontakcie z Mościckimi, byli to dobrzy znajomi, ale mogli jeszcze w niedzielę nie wiedzieć, że zostałem złapany, w każdym razie do nich zaszedłem. Tam położono mnie na tapczanie i przykryto kurtkami, kożuchami, bo dygotałem z zimna przez kilka dobrych godzin. Ale śladów po tym nie było.

[Następnego dnia poszedłem do biura meldunkowego tak zwanego "Odrodzonego Wojska Polskiego" czyli do Dywizji Kościuszkowskiej i tam zapisałem się do wojska. Ponieważ nie miałem kenkarty a tylko metrykę, która była dość wyszarpana przeze mnie butami. Wyglądałem na te dziewiętnaście lat trochę ale nie bardzo. A ponieważ nie miałem kenkarty skierowano mnie do pułkownika Szynarskiego, który w takich wątpliwych przypadkach sam decydował o przyjęciu. Zjawiłem się u niego w gabinecie. On spojrzał na tę metrykę, obrócił ją kilka razy, spojrzał koso, spojrzał na mnie. Uśmiechnął się i napisał: przyjęty.] Zoatałem przyjęty. Ponieważ zbiórka wszystkich ochotników -a musiało ich być kilkaset, żeby stworzyć transport- nastąpiła dopiero po dziesięciu dniach czy po dwóch tygodniach to ja przez ten czas byłem u państwa Pogrzebalskich i nocowałem w drewnutni. Nie dygotałem już, to zimno ze mnie wyszło. Pamiętam, że świetnie wtedy spałem.

W dzień, w który mieliśmy się zebrać wieczorem przyszliśmy do podziemi kościoła franciszkańskiego (ogromne podziemia). Zebrało się kilkuset takich jak ja. Czekaliśmy całą noc, może i cały dzień na podstawienie pociągu. Pamiętam, że w pewnym momencie w drzwiach ogromnej sali zjawił się patrol polski razem z Rosjanami. Zawołali czy jest taki a taki i wymieniono nazwisko. Na dźwięk brzmienia nazwiska jego właściciel automatycznie się poderwał, oczywiście ku swojej zgubie. Następny zorientował się, że nie warto się podnosić - nie ma, koniec. Dokładność szukania pojedynczych osób przez NKWD nie jest wielka. Raczej liczą się liczby niż poszczególne osoby.

Po mniej więcej dobie poprowadzono nas ulicami Wilna, od kościoła franciszkańskiego do dworca, ze trzy kilometry. W każdym razie ul. Wielką i pod Ostrą Bramą.

Zatrzymaliśmy się. Wzdłuż naszej drogi otaczały nas kobiety, które żegnały braci, mężów, narzeczonych, synów itd. Pod bramą ksiądz stał i żegnał. Klęczeliśmy, modliliśmy się - wszakto było dość podniosłe. Od Ostrej Bramy poszliśmy, już niedaleko jest dworzec. Tam nas załadowano i odjechaliśmy do Białegostoku. Jechaliśmy dość długo, ponieważ to był już koniec stycznia, kilka dni po rozpoczęciu ofensywy. No, to na tym można by było skończyć.

[W Białymstoku, w IV Pułku zapasowym "Kupiono" mnie do szkoły oficerskiej, tak to się nazywało. Przyjechali "kupcy" do szkoły oficerskiej w Lublinie. W szkole oficerskiej w Lublinie trafiłem do kompanii piechoty. Skończyłem tę szkołę 15 maja, kilka dni po zakończeniu wojny, oczywiście pod nazwiskiem Ryszard Danielski, dostałem stopień podporucznika i przydział do 13 Dywizji Piechoty, która właśnie się sformowała na zakończenie wojny a właściwie już po wojnie. Byłem dowódcą plutonu. W 1947 roku jak zapisałem się na studia w Wyższej Szkole Handlowej ujawniłem się 12 kwietnia i wróciłem do swojego nazwiska.]

Nie widziałem mamy po wyjściu z partyzantki. Mama pojechała do siostry do Wilna i razem z siostrą przyjechały jako reparyanci. Siostra oczywiście z mężem, bez dzieci, bo jedno dziecko było ale zmarło. We trójkę przyjechali pod Częstochowę. Dostali gospodarstwo rolne, gospodarzyli a potem jakoś tam losy się potoczyły. Znalazłem matkę chyba po dwóch latach, w 48 roku. Nie, przepraszam, w 46 roku jak jeszcze byłem w wojsku. Trochę już nie pamiętam, bo szukałem, jeździłem po Polsce i z trudem znalazłem.

Właściwie wtedy niewiele wiedziałem i niewiele mogłem wiedzieć. Nie miałem przeszkolenia wojskowego, przeszkolenia z bronią. Przed lipcem czy przed sierpniem 44 roku przed tą akcją w Górzech nie byłem przewidywany do tego, żeby iść na koncentrację, która się odbywała na początku lipca.

- Inni z okolicy poszli?

Wiem, że szli. Wiem, że ta koncentracja była. Jak przez mgłę pamiętam niektóre osoby, które prawie jawnie mówiły, że idą na koncentrację. W końcu to była konspiracja i nikt nie "trąbił", że idzie na koncentrację to jest zupełnie zrozumiałe. To, że ja nie wiedziałem jest też zupełnie zrozumiałe. Miałem swoje zadanie. Zarząd gminny był dosyć ważnym miejscem administracji, więc tam swoją

funkcję spełniałem i niewiele musiałem wiedzieć więcej i niewiele więcej wiedziałem. Oomyślałem się tylko.

- Losy dalszych tych osób pamięta Pan?

Zupełnie nie pamiętam.

- A nazwiska ludzi, którzy byli zaangażowani w AK?

Być może Redzik, najprawdopodobniej Redzik. Mój kolega, który był synem policjanta. Poza tym na prawdę trudno mi powiedzieć.

- Czy spotykaliście się kiedyś z innymi oddziałami ?

Nie, nie spotykaliśmy się.

- To znaczy, że to był jedyny oddział?

Nie. Niech ja sobie przypomnę. Chodziliśmy dość daleko. Byliśmy pod Sołuckiem, niemal pod Szczuczynem. Cały batalion Ragnara - trzy, cztery plutony - miały ze dwa, trzy razy się skoncentrować. Czy my jako pluton Piona wspólnie z jakimś innym oddziałem razem gdzieś przebywali - trudno mi jest powiedzieć. Chociaż pamiętam jedną taką noc, może warto o niej powiedzieć ze względu na szczególne atmosferyczne. To był chyba październik, niesłychanie ciemna noc. Maszerowaliśmy chyba wtedy więcej niż swoim plutonem ale nie całym batalionem. Musieliśmy unikać Sowietów. Przewodnik prowadził nas przez jakieś bezdroża, przez orane pole, tak że musieliśmy się trzymać za pas poprzedzającego żołnierza. Noc była tak ciemna, że tylko czasami widziałem odbłask stopki karabinu, która zawsze jest obita stalową blachą. W kilku miejscach ten wąż się rozerwał i mój "wąż" znalazł się w zupełnie nieoczekiwanym miejscu. Dziwne jest, że wyszliśmy z tego cało. Te ciemności są na prawdę przerażające.

- Czy to była obława sowiecka?

Czy obława? W gruncie rzeczy byliśmy stale w warunkach obławy. Czasami, jak się domyślam, była ściślejsza, czasami była luźniejsza. Z zachowania się naszego dowództwa, które oczywiście wszystkiego nie musiało nam mówić widać było, że wciąż "oka" się zaciskały. Świadectwem tego jest to, że w końcu zostaliśmy rozwiązani

- Jaka była częstotliwość podejmowanych akcji?

Na prawdę tych akcji było niewiele. Pamiętam potyczkę z patrolem, która właściwie skończyła się strzelaniną, której efektów nie znam. To była ta zasadzka na

milicjantów. Efektownych akcji po prostu nie mieliśmy.

- A nieefektownych, bo to też jest ważne. A w jakim rejonie była ta akcja? Trudno mi jest powiedzieć. Na południe od Lidy na pewno.

- A nie efektownych, które świadczą o trwaniu?

Spektakularnych nie było. Przez dwa tygodnie, ponieważ miałem kłopoty z nogą, lekarz czy sanitariusz kazał mi przez dwa tygodnie kurować nogę w jakimś odosobnionym hurorze. Byli bardzo serdeczni gospodarze.

Więc pamiętam rozbrajanie Niemców, zasadzkę na jakiś oddział milicjantów, chyba z żołnierzami, i zasadzkę na jakiegoś urzędnika. To pamiętam najwyraźniej.

- Czy jakieś nazwiska kolegów z oddziału, do którego pan trafił?

Cały oddział był mi nie znany. Rzadnych nazwisk wtedy nie mogłem znać. To jest zupełnie zrozumiałe. To, że znałem nazwisko Pazurkiewicza, to jest już powojenna sprawa. Pamiętam tego sierżanta, chyba szefa kompanii, który nazywał się "Ojciec"

- Czy losy Piona są panu znane?

Tak, ale to po wojnie ^{Wroński} kuzyn mi opowiadał. On zginął.

- Czy jakaś prasa docierała do oddziału?

Oczywiście. Tytułów nie pamiętam, pamiętam tylko wiadomości. Wiedzieliśmy, że jest powstanie w Warszawie i o tym się mówiło u nas. Pamiętam, że przeczytałem - różne dziwne szczegóły trzymają się pamięci - że Rada Narodowa czy rząd się zebrał i upaństwowiono lasy. Dziwne, ale to jest prawdziwe i chyba o tym upaństwowieniu lasów w prasie było. Pamiętam, że powstanie było, to że upadło.

- A jak zorganizowane było zaopatrzenie?

Po wsiach dostawaliśmy.

- Na ile to było spontaniczne a na ile zorganizowane? Czy istniała siatka terenowa?

No, na pewno istniała. Byli przewodnicy. Dlatego też, że przychodziliśmy czasami i w zupełnie nie znanym miejscu prosiliśmy, żeby nas nakarmiono. To się zdarzało ale na ogół wiedzieliśmy, gdzie dostaniemy jeść a to znaczy, że ktoś musiał to przygotować. W miarę upływu czasu, to było gorzej. O tym, żeby był jakikolwiek rabunek nie mogło być mowy. Ja się z tym absolutnie nie zetknąłem.

- To zależało od dowodzącego w dużej mierze.

Bardzo możliwe.

- A jakie jeszcze inne sygnały były świadczące, że istniała jakaś siatka? Szczegółów oczywiście nie znam, ale sam fakt, że na przykład jak wracałem do Lidy to przewodnicy byli, w różnych sytuacjach. No i sprawa wyżywienia. Dowództwo miało jakieś meldunki, gdzie są sowieci.

- Czy jak zdemobilizowano oddział to dostał pan kontakty na dalszą konspirację czy to było definitywne?

Nie. Rozwiązano i żadnych kontaktów. Ja LIdę dobrze znam.

(....) Kazimierz został aresztowany po mnie, to znaczy jak ja wyjechałem, był w tej Kałudze.

- Ale to znaczy, że nie był aresztowany za konkretną działalność tylko z podejrzenia raczej.

Proszę pana, aresztowania mogły być zupełnie przypadkowe.

- Jeżeli był w Kałudze, to myślę, że to było przypadkowe, bo z obozu.....

..Acha, to po dwóch latach by nie wrócił.

- Z tego co pan mówi to można podejrzewać, że on był w jakiejś organizacji.

Na pewno był w jakiejś organizacji. Ja jestem tego dowodem.

- Ale nie rozmawiał pan z nim tutaj we Wrocławiu o tym?

Nie.

- No tak, jakoś niezręcznie